Świat powieściowy.

Nr. 125 Tygodnik belletrystyczny. Rok III.

Złamany a nieugięty.

POWIEŚĆ

przez Marję Grochowalską

(Ciąg dalszy)

Lola usychała z niepokoju, jakim ją uporczywe milczenie ukochanego młodzieńca nabawiało. Milczenie to dziwne i wiadomości o nim, które usłużni przyjaciele jej donosili, aż nadto ją upewniały, że czarowne jej marzenia miały na zawsze pozostać marzeniami tylko. Jeżeli kto doznał kiedy zawodu w ostatniej swej nadziei serdecznej, jeżeli ideał wybrany dopomina się wzgardy zamiast laurów wieńczących wszystko co piękne i wzniosłe, jeżeli do tego zawód podobny łączy się z cierpieniami bolesnemi całego przeszłego życia i spotyka nas w chwili, gdy żegnając się z młodością, w ideale wybranym skupiliśmy wszelkie nadzieje, wszelką wiarę w jaśniejszą przyszłość, całe życie nasze, więcej, bo podstawę życia, jeżeli znajdzie się człowiek, kobieta do tego, która przeżyje taki zawód, której serce nie pęknie lub rozum się nie pomiesza, ta pojmie ile bolu zdolne jest wytrzymać serce ludzkie, i ta zrozumie, jakie katusze przeżyła Lola.

Najpierw drżała o życie i zdrowie jego, potem starała wytłumaczyć je sobie różnorodnemi powodami, które jej poczciwe serce poddawało. Wieściom nie wierzyła, a uwierzywszy wreszcie, broniła się jeszcze, zamykała oczy, zatykała uszy, modliła się rozpaczliwie, wzywała Boga na pomoc, uciekała przed własnemi myślami, nie chciała pewności, chciała się łudzić choć dwa dni jeszcze, choć dzień, choć godzinę. Wynajdywała sobie różnorodne zajęcia. szukała ludzi i padała wieczór zmęczona temi mękami Tantala na swe łóżko i wybuchała wtedy głośnym płaczem. Za chwilę zerwawszy się, porywała lampę, stawała przed zwierciadłem, i śmiech nerwowy, konwulsyjny, połączony z łkaniem gwałtownem rozlegał się po pustych pokoikach. Czuła się wtedy okropnie samotną, nieszczęśliwą, biedną sierotą, samotną jak świat szeroki! Za nią i przed nią straszna pustynia — dokoła niej nic i nic... Te pokoiki jakże dziś one puste i samotne, mój Boże! jakże były zaludnione i pełne, gdy serce jej pełne było wiary, miłości i nadziei! Dziś ci goście daleko od niej odbiegli, to też czuła wszędzie pustkę, naokoło siebie i w sobie, nabierając tylko chwilowej mocy na grobach rodziców.

Nie mogło jednak tak trwać długo. Lola czuła, że kilka tygodni jeszcze mąk takich, a strasznego coś się z nią stanie! Niepewność zdawało jej się, że wyczerpała wszystkie siły. Zapragnęła nareszcie naocznie się przekonać, i bądź co bądź zdobyć pewność.

Jednego poranku, osnutego mgłą dżdżystą, pojechała do Wiednia. Nie znała miasta, nie znała ludzi, po niemiecku mówiła mniej jak miernie, ale to wszystko jej nie odstraszało. Przed sobą miała cel jeden, do niego dążyła, po za nim nic jej nie obchodziło!

W wagonie trzeciej klasy znalazła się pomiędzy zupełnie obcymi, w rozmowie jednak potocznej, której niepodobna uniknąć w podróży, znalazła nie jedną wskazówkę co do stosunków miasta, do którego dążyła. Wzięto ją za żonę i matkę, jadącą dla szukania porady lekarzy wskutek nadwątlonego zdrowia, wyglądała bowiem teraz jak suchotnica, rumieńce miała powypiekane, a oczy tłumioną gorączką gorejące.

Stanęła nareszcie we Wiedniu.

Uprzejmy towarzysz podróży, jakiś stary emeryt, znający dobrze stolicę Austrji, w której długie przepędził lata, ofiarował swoje chwilowe usługi nieobeznanej podróżnej i zawiózłszy ją do jednego z najskromniejszych hoteli, uprzejmie pożegnał.

Gdy Lola uczuła się zupełnie samotną, w obcem mieście, wstrząsł nią dreszcz silny Uczuła lęk jakiś dziwny, nie mając do tego żadnego rozsądnego powodu. Roznerwowana poczęła rozmyślać, krew jej biła do głowy, pulsa tętniły, ręce miała gorączkowo rozpalone, a jednak drżała z zimna. Czuła ból w piersiach, zarodek jakiejś choroby, więc strwożona rzuciła się na kolana na środku samotnego pokoiku, załamała ręce, i głosem do niepoznania zmienionym, wyksztusiła z kurczem ścieśnionego gardła:

— Panie! Panie! Panie!

Krzyk ten zrozpaczonego serca musiał dolecieć do celu, bo Stwórca wszechświata zesłał sen na zmęczone powieki, po którym Lola następnego poranku przetarła oczy zdrowa na ciele i duszy, zbrojna w jakąś odwagę i stałe postanowienie.

Znała adres Arnolda i tam się zawieźć kazała. Gdy pytała o niego, głos zamierał jej w piersi. Może się dowie o jego śmierci? Niech się już co chce dzieje! Niech jej nie kocha, ale niech żyje! — błagała myślą Boga biedaczka. — Stary odźwierny objaśnił ją, że nic nie wie, co się z nim dzieje, bo od czterech miesięcy już tu nie mieszka.

— Jest nawet tu kilka listów do młodego doktora — dodał. — Pani pewnie jego krewna, może je pani zabierze i odda gdy go znajdzie — i włożył jej w rękę ostatnie jej listy do niego pisane.

Lola nie wiedziała już teraz co sądzić o tem. Nie odbierał jej listów, nie mieszkał tam gdzie dawniej, cóż więc stać się z nim mogło, dlaczego nie dawał znaku życia o sobie? Gdzież ona zdoła go odszukać w tem wielkiem, nieznanem mieście? Myśl szybsza od błyskawicy przemknęła jej po głowie; kazała się wieźć na wydział medyczny, na który uczęszczał Arnold.

Wszedłszy, znalazła się w długich kurytarzach, po których przechadzało się kilku młodych ludzi. Zapytano ją uprzejmie po niemiecku, czego sobie życzy. Lola nie zrozumiała pytania, rzekła przeto głośno po polsku, chcąc być mimo to zrozumianą:

— Arnold Kohlmann, mój brat.

Młodzi ludzie popatrzyli na siebie znacząco, zamienili między sobą słów kilka i jeden z nich wszedł w głąb budynku. Za chwilę wrócił z drugim równie młodym człowiekiem niskiego wzrostu, zgrabnych ruchów i przystojnej, tchnącej wyrazem zdrowia i wesołości twarzy. Nowoprzybyły skłonił jej się z całą elegancją i rzekł po polsku:

— Jestem rodakiem pani i mam honor przedstawić się jako Kamil Gabrylecki, medyk, a tem samem kolega Arnolda Kohlmanna, o którego pani pytasz. Byłem nawet w ściślejszych z nim stosunkach jak i wszyscy inni. Niestety — byłem — bo w obecnej chwili...

— Czy nie żyje? — wyszeptała zaledwie dosłyszanym głosem blada jak trup dziewica.

— O! pod względem życia i zdrowia możesz być pani spokojna! Spotykamy go często w pysznej karecie obok najpiękniejszej rusałki baletu, o jakiej nam biednym śmiertelnikom zamarzyć ledwie wolno! Nieszczęście tylko, że upojony i oczarowany tą idealną pięknością, zerwał z całą przyszłością, która mu rokowała świetne nadzieje! Był celującym uczniem, niezmordowanym w pracy, ulubieńcem profesorów, najlepszym i najpoczciwszym towarzyszem, jednem słowem wzorem pod każdym względem. Miał nawet podobno narzeczonę, dla prędszego połączenia się z którą nie skąpił dnia i nocy do nauki! A dziś...

— A dziś? — powtórzyła drżąca Lola. — A dziś gdzie jest? co się z nim dzieje?

— Nic nie wiemy — odrzekł z dwuznacznym uśmiechem Kamil. — Kilka miesięcy już nie chodzi na wykłady. Dla czarodziejki z baletu, którą odebrał jakiemuś jenerałowi, został chórzystą, i zapewne spi tym snem roskoszy, który ubezwładniając umysł i serce, strąca nas powoli tam, zkąd wyjścia niema w świat i życie dawne!... Przepraszam, że objaśnienia moje niemile jak widzę panią dotknęły, lecz chciałaś pani prawdy, a ja jako przyszły lekarz, sondując ranę, nauczyłem się nie pytać czy boli!...

— Dziękuję panu serdecznie — szepnęła jeszcze ciszej biedna Lola — lecz jak się nazywa ta... ta... — nie miała siły dokończyć pytania.

— Paula Salden, primaballerina znana i wielbiona przez wszystkich, i dotąd dla wszystkich zimna jak marmur. Szczęśliwy czy nieszczęśliwy Arnold zdołał ten lód roztopić. Jak to dokazał, doprawdy, wartoby wiedzieć, bo nieokazywał nigdy skłonności do zdobyczy sercowych. Zdaje mi się, że spotkałem się z jej imieniem na dzisiejszym afiszu. Możesz ją pani przeto obaczyć w teatrze.

Lola raz jeszcze podziękowawszy, chwiejąc się odeszła. Gdy znalazła się w wynajętym pokoiku, długi czas pozostawała w stanie dziwnego otrętwie-

nia. Nie mogła zebrać myśli rozpierzchłych, nie zdolna była łzy uronić i zdawało jej się, że nic jej nie boli, że nic nie czuje. Nie mogła zdać sobie sprawy czy jest na jawie czy we śnie, chciała koniecznie przebudzenia z tego letargu duszy, a tem straszniejszych tortur moralnych, i wyjąwszy szpilkę, wepchnęła ją w ciało głęboko. Krew wystąpiła, ukłucie zabolało — nie spała więc — nie był to letarg — to było życie...

— Życie! — krzyknęła i chwyciła się za głowę — och! umrzeć! umrzeć! i to w tej chwili! Dziś mi już wszystko jedno!... nie, nie jedno! bo ja żyć nie chcę, bo dziś życia nie zniosę!

Bóg się zlitował i zesłał jej łez parę, które jak ogień palące, grubemi kroplami spłynąwszy po licach, utorowały drogę innym, następnym, bo bolesne łkanie wkrótce rozdarło jej łono, bez którego pękłaby była może pierś biednej dziewicy...

Lola wiele wycierpiała w życiu, ból ją zahartował, nie pękło więc jej i tym razem serce brzemienne nadmiarem boleści najstraszniejszej, bo odbierającej ostatnie już nadzieje, ostatni promień złoty jaśniejszej przyszłości! Arnold przestał ją kochać! Gdyby mogła choć wierzyć, że kochał ją niegdyś! O! zrozumiała teraz, że uczucie jego było tylko braterskiem przywiązaniem, przyzwyczajeniem, litością nad sierocą jej dolą! Uczucie takie nie mogło inaczej się skończyć, a lepiej że skończyło się prędzej jak później! Powinna Bogu za to dziękować! Rozum tak mówił — serce rwało się ku szczęściu i krwawiło z boleści...

Lola płakała i płakała bezwiednie godzin kilka, Łzy płynęły co raz obficiej — łkania przeszły w jęki ciche. Chciała go raz jeszcze zobaczyć, raz jeden, ale nie chciała być poznaną.

Gdy nadszedł wieczór, stanęła na rogu gmachu teatralnego, i tam gdzie dawniej Arnold czatował nieraz z bijącem sercem na wychodzącą Paulę, ona dziś czekała na niego. Serce jej jednak nie biło — zamarło już — spopielało — nie wiedziała sama, czy posiada jeszcze serce!

I doczekała go się nareszcie. — Najpierw obaczyła tłum, słyszała gwar i zgiełk, wreszcie doszedł jej uszu głos, na który wstrząsła się, jak gdyby prąd galwaniczny przebiegł po jej ciele. Głos ten rozkazująco przywoływał woźnicę, by zajeżdżał. Posłała spojrzenie w kierunku głosu i spostrzegła Arnolda, gdy oczekując na powóz okrywał białym kaszmirem kobietę, dziecię postacią, o płomiennem óczu czarnych spojrzeniu, o włosach złota połysku... Lecz co ją ta kobieta obchodziła! Tę czy inną kochał Arnold, to jej wszystko było jedno, lecz nie kochał jej — Loli! Kobieta grała dla niej rolę podrzędną — nie pragnęła jej widzieć nawet, bo wiedziała, że tysiące jest piękniejszych i młodszych od niej, z któremi ona nawet w porównanie iść nie może! Między temi jednak tysiącami wydawała jej się najpiękniejszą ukochana Milunia, a przecież Arnold jej nie pokochał, lecz pokochał ją — Lolę, starszą i brzydszą... Wszak mówił jej to, zaklinał, błagał o wzajemność... Nie była przecież tak bardzo winną, broniła się, przedstawiała różnicę wieku... i pokochała go nareszcie, o! jak bardzo go pokochała! A dziś ona stoi o kilka kroków, a on widzi tylko tamtę, oczy jego szukają jej ócz, a zlane razem ich spojrzenia mogłyby spalić świat cały! I wziął ją jak dziecię na ręce, wsadził do eleganckiego powozu, oparł w białych atłasach spowite nóżki na aksamitnej poduszce, i zazdrośnik! zarzucił białą, gazową zasłonę na lica płonące szczęściem i roskoszą, chcąc je widocznie ukryć przed wzrokiem arystokratycznej gawiedzi, pchającej się do drzwiczek powozu; chciał je może nawet skryć przed jasnym blaskiem księżyca, który zalotnie zaglądał w oczy jego bóstwa. Wreszcie jakby broniąc skarbu swego, zaledwie konie ruszyły z miejsca, otoczył ramieniem kibić ślicznej ubóstwionej i przytuliwszy ją do piersi, zdawał się mieć na czole dumę króla zwycięzcy!

O kilka kroków stojąca Lola patrzyła na tę scenę szeroko rozwartemi oczyma, nie zdolna zdać sobie z tego sprawy, na co patrzyła. Byłże to Arnold, ten piękny, zuchwały mężczyzna, bryzgający w oczy światu śmiałem wystąpieniem przeciw opinji i moralności?! On — Arnold, w obliczu tysiąca zgromadzonych, trzymał w objęciu kobietę, która nie była jego małżonką! Więc są kobiety, które pozwalają na to, którym to uchodzi i które niezłączone świętym węzłem hymenu, tryumfująco przejeżdżają się w swym bezwstydzie?!

I Lolę wśród tych myśli oblał szkarłatny rumieniec, tak była oburzoną. Znała życie lekkie i występne z książek tylko, lecz nie zajrzawszy mu nigdy w oczy, sądziła, że jest tylko po większej części wynikiem fantazji autorów. To co ujrzała strasznie ją zabolało, lecz wytrzeźwiło do reszty.

Całkiem teraz ochłonęła i przytomna już wsiadła do dorożki. Noc przeszła jej spokojnie — nie

płakała więcej. Rozmyślała tęsknie i smutno, bez rozpaczy jednak. Czuła się jak po bolesnej operacji. Gdy lekarz amputuje rękę lub nogę, chory cierpi ból straszny, ale znajduje ulgę po skończeniu, bo wie, że chwila ta okropna już się nie powtórzy, a ból obecny coraz bardziej zmniejszać się będzie. I jej dzisiaj odjęto serce, a wykonał tę operację Arnold, ten dziś tak piękny Arnold, jakim nie marzyła że stać się może.

Na drugi dzień rannym pociągiem wracała do Lwowa, a wracała jak gdyby z własnego pogrzebu.

Kto ją dawniej widywał, byłby ani przypuścił, jaki nowy a straszny cios rozdarł ledwie zabliźnione jej serce. Na zewnątrz nie było to zupełnie widoczne. O stosunku jej z Arnoldem nikt nie wiedział, gdyż jak wiemy, było między nimi umówione zachowanie do czasu tajemnicy. Dziś nie miała potrzeby ani chęci spowiadać się z tem przed kimkolwiek. Wyspowiadała się tylko Bogu i rodzicom w cichej i rzewnej modlitwie na ich grobie. Nie złorzeczyła Arnoldowi, przeciwnie, tłumaczyła go, dowodząc sobie, że było to naturalnym końcem tak anormalnego stosunku. Siebie nie zwolniła również na przyszłość z obowiązków siostry, straciwszy prawa kochanki. Nie chciała i nie mogła zapomnieć, jak był dobrym, jak czułym bratem w najsmutniejszych dniach jej życia. Ostatni zawód chciała koniecznie przesypać zwiędłemi liśćmi zapomnienia.

— Jeżeliby był kiedy samotny i nieszczęśliwy — mówiła do siebie — znajdzie zawsze we mnie dawną, szczerą przyjaciółkę, a szczupły mój mająteczek ochroni go od nędzy, która łatwo może mu grozić przy pokierowaniu się tak nieszczęśliwem.

W kilka tygodni wynajęła dworek na Żółkiewskiem przedmieściu, a zabrawszy swoje graciki, wyjechała na mieszkanie do ciotki. Ta niemal ręce jej całowała, dziękując rozrzewniona za zlitowanie się nad jej samotnością. Tak to często odbieramy hymny pochwalne, zupełnie nie zasłużone, bo Lola porzucając Lwów, miała jedynie na myśli własne ukojenie, sądząc, że to prędzej nastąpi po oddaleniu się z miejsca pamiątek, wśród górskiej przyrody i wiejskich zajęć. Wszelkie stosunki dwojga ludzi, tak niedawno narzeczonych, zostały zupełnie zerwane — wszelka korespondencja ustała.

— Co się też dzieje z Arnoldem? — zapytała raz ciotka Lolę.

— Nie wiem — odrzekła zapytana najobojętniej. — Słyszałam, że źle się prowadzi w Wiedniu. Romansuje z jakąś aktorką, dla której porzucił kurs medycyny. Szkoda chłopca! Zmarnuje zdolności...

— Wiesz — odrzekła ciotka, i uśmiechnęła się znacząco — mnie się zdawało, że on się w tobie kocha...

— A! ciociu! Skądże takie myśli mogły cioci przyjść do głowy! Wszak on jest dzieckiem w porównaniu ze mną — odrzekła z całą swobodą.

— Bywają jednak takie małżeństwa na pozór niestosowne, które są jednak szczęśliwe — ciągnęła dalej ciotka nawlekając igłę.

— Mojem zdaniem są to zawsze małżeństwa nader niedobrane, a nawet potworne! Moja ciociu, młodość ma swe prawa, a przyszłość długa... Zresztą mnie ani jemu coś podobnego nawet nie przeszło przez głowę! Jestem mu bardzo życzliwa, lubię go, jakby należał do mej rodziny i jestem pewna, że i on mnie lubi również. Że teraz o mnie zapomniał.... no, to przecież całkiem naturalne! Kto się kocha, nie ma czasu na co innego! Muszę napisać kiedyś do niego — dodała tak naturalnie, jak gdyby najszczerszą prawdę głosiła. Kobiety pod względem udawania są genialne!

— No, no — odrzekła ciotka — kiedy tak, to tak! Ale ja cię tu wyswatam — zobaczysz! To być przecież nie może, żeby tak smutno całe twe życie przeszło... — i ze łzami w oczach uścisnęła siostrzenicę. — Cóżeś ty biedne dziecko użyła w twem życiu?!

— Miałam i ja ciociu jasne chwile szczęścia! — odpowiedziała Lola przekonywująco. — Dziś już późno marzyć... już jestem za stara! — Patrz ciociu — i rozsunęła czarne włosy na skroni, wśród których przezierało kilka srebrnych promieni.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Po latach dwudziestu.

(Ciąg dalszy).

XXV.

Wojna była wydana i walka rozpoczęta. Trzeba było działać jak najszybciej, aby struny bolesnej nie przeciągać, aby uporać się prędko z sprawą tak drażliwą, od której tak wiele zależało.

Armand rozpoczął śledztwo według wskazówek, udzielonych mu przez adwokata Rousseau, które tak jaskrawe światło na całą sprawę rzucały. Przypomniał

sobie teraz i owe słowa proboszcza z Bonnières, wypowiedziane w zamku d'Albray pewnego wieczora. Wtedy nie przywiązywał do tych słów żadnej wartości, obecnie atoli uderzyły go dziwnie, jakby miały ścisły związek ze sprawą jego klienta. Kto wie czy ksiądz sędziwy, nie miał wtedy na myśli, tej właśnie zbrodni podwójnej?!

Nazajutrz, bardzo wcześnie zrana, był już na probostwie w Bonnières.

— Ksiądz proboszcz — dygnęła mu nisko gospodyni zafrasowana, iż nie zastał jej gość, tak młody i przystojny, w pełnej toalecie — ksiądz proboszcz w ogrodzie — dodała, oczy skromnie spuszczając panna Weronika, mimo iż czterdziestka na kark jej wlazła, nieproszona i niepytana. Jednocześnie otwierała drzwi drugie sionki, przedzielającej skromny domek na dwie połowy, i ręką wskazała ogródek ślicznie utrzymany, pełen kwiatów najpyszniejszych, i porozpinanych na drutach drzewek owocowych, obiecujących plon obfity.

Armand oglądnął się w koło, nadaremnie jednak szukał oczyma księdza sędziwego, dojrzał tylko przy jednym z gęstych szpalerów brzoskwiniowych ogrodnika w bluzie przykucniętego, który pilnie śledził kreta, chcąc ile się zdaje zadać mu cios śmiertelny, aby nie psuł dalej jego pracy.

— Ejże! mój człowieku! — głośno zawołał. — Nie widzieliście przypadkiem proboszcza Dubois?

Najemnik w bluzie, z rękami ziemią oblepionemi, podniósł się leniwo i obrócił twarzą ku Armandowi.

— Ach! to ksiądz dobrodziej?! — krzyknął Armand ze zdziwieniem, i trochę zmięszany.

— Oho! pan d'Arcay! Ależ z pana ranny ptaszek! — księżyna uchylił słomianego, szerokiego kapelusza, okrywającego przed słońcem twarz sędziwą i dobrodusznie uśmiechniętą.

— Przepraszam księdza proboszcza! — Armand z uszanowaniem ukłonił się nisko — nie poznałem z razu...

— A jakżeś miał mnie poznać synu kochany! — ksiądz śmiechem wybuchnął — kiedyś widział dotąd tylko moje plecy!

Strzepnął ziemię z rąk, bijąc w dłonie, otarł jeszcze ręce o bluzę, i ścisnął serdecznie dłoń wyciągniętą Armanda.

— Słońce przypiekać zaczyna — otarł ksiądz pot z czoła wielką chustką kraciastą — chodźmy lepiej do altanki. Tam w chłódku spokojnie możemy pogawędzić.

Weszli do rodzaju budki, konstrukcji nader pierwiastkowej, z desek i gałęzi zbudowanej, którą jednak pnące rośliny tak cudownie w zielone wieńce stroiły, a jaśmin i *Clematice*, taką wonią roskoszną napełniały, iż zastąpiła kiosk najkosztowniejszy.

— To bardzo ładnie, żeś pan tak przyszedł po sąsiedzku bez ceremonji! — starzec poklepał Armanda przyjacielsko po ramieniu. — Nie wyglądam w tej chwili na księdza, co? Cóż pan chcesz? Moje kwiaty, owoce i jarzynki, nie skandalizują się bynajmniej bluzą. W sutannie nie mógłbym podjąć się takiej roboty. Skoro trochę odpocznę, pokażę panu moje małe królestwo. Cuda! mówię ci! Brzoskwinie jak pięście, winogrona jak w *Chanaan*! Zadaję bo sobie pracy nie lada! Istna plaga: to krety i gąsienice! Ależ je tępię! tępię! ile tylko zmogę!

Otarł znowu pot z czoła i spytał serdecznie:

— Jakże tam u was? Co słychać? Wszyscy zdrowi? Mama dobrodziejka? Panna Walentyna? Hrabia? Hm! hm!... gdzieś już niebawem zaczniecie wić wieńce i stawiać bramy tryumfalne... Wszak to za dni kilka zwiążę wam ręce stułą, moje gołąbeczki! A na twardo zwiążę, żebyście się całe życie kochali i razem trzymali!...

— Tak!... ślub nasz niedaleko!... — bąkał Armand — chociaż kto wie... czy nie będzie się musiało... trochę na później... wszystkiego odłożyć...

— A to dlaczego? — ksiądz wypatrzył się na niego zdumiony.

— Proboszczu szanowny — Armand zapytał ze swojej strony, zamiast odpowiedzieć. — Jak dawno w tym domu mieszkacie?

— Lat trzydzieści, synu kochany! Ot ta tam grusza! Zasadziłem ją pierwszego roku, gdym został tutaj proboszczem. Patrz moje dziecię, jak szeroko rozkłada konary, jak dumnie w niebo strzela! Przeciwnie ja, którym ją sadził, ku ziemi chylę głowę, latami pracy obciążoną!

— Bywacie od dawna ojcze w zamku d'Albray?

— Poznałem hrabiego w pięć lat później... Odtąd był zawsze łaskaw na mnie sługę bożego.

— Znaliście również ojcze i nieboszczkę hrabinę?

Zdawało się Armandowi, że w oczach staruszka coś zamigotało; było to jednak w każdym razie wrażenie przelotne, bo ksiądz Dubois odpowiedział najspokojniej:

— Naturalnie!... znałem i nieboszczkę.

— Miała to być święta kobieta?

— Była istotnie bardzo dobrą panią... i wielce miłosierną.

— Utrzymują, iż w pożyciu z mężem była najnieszczęśliwszą?

— Tak... zapewne... hrabia był trochę impetyk... despotyczny... a hrabina była z rodzaju mimozy... istota czuła, nerwowa, eteryczna... żyjąca duchem w sferach wyższych... Jednak zdaje mi się, iż pożycie ich nie było złem... hrabia bardzo nawet żonę żałował...

Widocznie ksiądz ani się domyślał, do czego pytania zmierzają. Instynktem wiedziony, trzymał język na wodzy, w postawie odpornej, jakby się bał, żeby się z czem nie zdradzić i nie wygadać. Armand postanowił zatem wprost uderzyć, nie obwijając niczego w bawełnę.

— Skoro bywaliście ojcze dobrodzieju często w zamku, i znacie dokładnie jego mieszkańców, musieliście zapamiętać historję niejakiego Jakóba Torquenié, który był leśniczym u hrabiego de Trameillan przed laty dwudziestu?

Tym razem starzec drgnął niezawodnie, co nie uszło bystremu oku Armanda.

— Dlaczego mię pan o to pytasz? — bąknął pomięszany.

— Księże proboszczu! Byliście zawsze przekonani o niewinności tego człowieka, nieprawdaż?

Ksiądz był dziwnie zaniepokojony. Utarł nos głośno w chustkę kraciastą, wyjął okulary z pochwy i oczyścił starannie, choć na nich ani pyłku nie było, a ręce mu drżały jak w febrze. Wreszcie cicho odrzucił:

— W istocie, kochany panie d'Arçay... nie wiem... nie rozumiem... co to wszystko znaczy?...

— Rzecz się tak ma, ojcze najszanowniejszy! — Armand przemówił energicznie. — Jakób wrócił z galer. Traf... a może tajne wyroki Opatrzności, do mnie najprzód kroki tego człowieka skierowały. Przysięgał mi, że został niewinnie osądzony; błagał usilnie, żebym się podjął jego rehabilitacji... Zrazu prośbę z oburzeniem, niemal z pogardą odrzuciłem, wina jego, mojem zdaniem, była niewątpliwą. Później atoli, odkrycia rozmaite, dowody niewątpliwe, rzuciły światło tak jasne na tę całą sprawę, iż przestałem wątpić niestety, i powziąłem smutne przekonanie, że sprawiedliwość w tym wypadku fatalnie się pomyliła, do czego... myśl to dla mnie zabijająca! najwięcej przyczynił się mój biedny ojciec, już wtedy widocznie niespełna zmysłów, który męczył ofiarę nieszczęśliwą tak długo, z uporem fiksata, póki na niej zeznań fałszywych nie wymógł. Obecnie wiem najdokładniej, że pana de Mortrée zamordował hrabia de Trameillan, a Marietty otrucie polecił zapewne swojej słudze najwierniejszej, Genowefie Tinnet. Ponieważ Torquenié cierpiał lat tyle głównie z przyczyny obłędu chorobliwego ojca, na syna więc spada obowiązek wrócenia mu czci utraconej. Będę go bronił zatem, jak umiem najlepiej, spełnię powinność, choćby mi serce z bolu pęknąć miało!

Pobieżnie, jak mógł najzwięźlej, Armand obznajomił starca ze wszystkiem, co już w tej sprawie przedsiębrał. Zaklinał go przytem, aby mu powiedział, co tylko wie ze szczegółów tej sprawy dotyczących, i ażeby starał się jako kapłan zmiękczyć serce hrabiego de Trameillan, do łagodnego obchodzenia się z biedną Walentyną, i do uszanowania ile możności pamięci jej matki nieszczęśliwej.

Gdy Armand w ten sposób mówić zaczął, starzec zrazu osłupiał, następnie słuchał z wzrastającym interesem, a na wspomnienie o świętych obowiązkach, które Armand spełnić musi, mimo iż tak wiele cierpi na tem, nie mógł stłumić w sobie głębokiego rozrzewnienia.

Armand zamilkł. Ksiądz uścisnął mu obie dłonie najserdeczniej, odwracając twarz, żeby oczy nabiegłe łzami otrzeć nieznacznie. Po chwili westchnął ciężko, i jakby walkę staczał z sobą, odrzucił głosem stłumionym i urywanym:

— Nie wiem nic a nic... o tej całej sprawie!

— Ależ to niepodobna! — zawołał Armand z żywością. — Musiałeś księże proboszczu otrzymać zwierzenia!... czyż hrabia nie spowiada się przed wami?!...

— Powtarzam ci raz jeszcze, synu drogi, że nic a nic o tem nie wiem! — starzec dodał tonem uroczystym.

— Kiedyś... nie tak dawno... wspomnieliście ojcze, rozmawiając ze mną w zamku d'Albray: „Że nie masz parafji tak cichej, kąta tak ukrytego, gdzieby ksiądz nie był zmuszony słuchać o strasznych zbrodniach spełnionych, nie był wmięszany w dramat krwawy, którego częstokroć nikt się więcej nie domyśla!..." Te wasze słowa, uderzyły mię teraz! Czyżeście wtedy nie myśleli o podwójnem skrytobójstwie hrabiego, do czego dołączył i zbrodnię trzecią, podług mnie, najnikczemniejszą: wysyłając biedaka najniewinniejszego, na lat dwadzieścia na galery, w zastępstwie swojem?

— Nic nie wiedziałem o tej sprawie... nic nie wiem... i proszę cię, synu kochany, przestańmy o tem mówić!

— Wierzę wam ojcze — Armand skłonił czoło przed tem przedsięwzięciem niecofnionem, aby niemym pozostać. — Gdybyście zresztą byli coś wiedzieli, czyż bylibyście z krwią zimną dopuścili, żeby niewinny cierpiał, a prawdziwi zbrodniarze uszli bezkarnie?!

— Nie jesteśmy denuncjantami, dziecię moje! Grzesznicy, którzy nam skrytości serc swoich odmykają, są naprzód ubezpieczeni, iż usta nasze straszną przysięgą związane, wiecznie pozostaną niememi. My im możemy tylko wskazać drogę pokuty za grzechy, możemy ich oświecić, czem jest skrucha i żal szczery, możemy im zagrozić sprawiedliwością Boga, ale nigdy, w żadnym wypadku, nie wolno nam wzywać sprawiedliwości ludzkich sądów. Modlimy się wtedy gorąco do Pana nad Pany, aby raczył zmiękczyć serca w nieprawości zatwardziałe... i na tem kończymy!

Przemowa starca, pełna namaszczenia, wywarła na Armandzie wielkie wrażenie.

— Rozumiem ojcze! — powstał Armand z uszanowaniem, księdza w ramię całując. — Proszę darować moje natręctwo. I ja więc ojcze błagam was odchodząc, o tę jedną wielką łaskę: proście Boga za mną, żeby mi sił udzielił i pozwolił spełnić do dna kielich goryczy!

— Najchętniej! najchętniej! mój synu drogi! mój bohaterze! — ksiądz porwał go w ramiona i serdecznie uścisnął. — Czyn, który spełnić zamyślasz, jest piękny! wzniosły! Niech cię Bóg błogosławi tak, jak Jego sługa niegodny, błogosławi cię sercem całem, na tę drogę ciernistą! Żal mi ciebie, ale podziwiam męstwo twoje i wytrwałość!

Nakreślił drżącą ręką krzyż nad schyloną głową Armanda, i chwilę stali tak naprzeciw siebie zadumani. Nagle ksiądz drgnął i zwrócił się ku domowi, jakby mu się coś ważnego przypomniało.

— Zaczekaj na mnie synu — rzucił Armandowi słów kilka pospiesznie. — Nie mogłem udzielić ci wiadomości, po które przyszedłeś, nie chcę jednak, aby odwidziny twoje były nadaremne. To, co oddam ci w ręce, będzie miało — tak sądzę przynajmniej —

wielką wartość w oczach twoich!

Ksiądz zniknął za drzwiami probostwa. Armand czekał z sercem bijącem na to „coś“, o czem miał się dowiedzieć.

Starzec wracał za chwilę. W rękach niósł rodzaj pularesika, wyklejonego niebieskim, trochę wypłowiałym, aksamitem.

— W tem pudełku znajduje się miniatura na kości słoniowej hrabiego Marcelego de Mortrée — staruszek poczciwy, miał minę wielce zafrasowaną, gdy oddawał pulares Armandowi. — Ten portret przysłała mi umierająca... która wiele łez wylała... wiele! bardzo wiele cierpiała... miejmy zatem nadzieję, i ufajmy miłosierdziu Bożemu, iż te łzy żalu szczerego, obmyły jej duszę ze wszelkich grzechów i przewinień... Przypatrz się synu dokładnie temu portretowi... a domyślisz się, dla czego w twoje ręce składam ten depozyt...

Armand pocisnął sprężynę. Zaledwie okiem rzucił na malowidło, wykrzyknął zdziwiony:

— Nie chciałem wierzyć panu Rousseau!... myślałem, iż posunął się za daleko w swoich podejrzeniach.. teraz wątpić nie mogę... Walentyna rys w rys podobniuteńka do tej miniatury!... hrabia de Mortrée był jej ojcem!...

Ksiądz skinął głową w milczeniu.

— Oh! dzięki! dzięki ojcze! za wyświadczone mi dobrodziejstwo! Teraz mam ręce rozwiązane! Nic mnie nie wstrzyma! Ten zbrodniarz jest obcym dla nas! Niebył godnym istotnie być ojcem takiego anioła, jak Walentyna!

— Miej jednak cokolwiek litości i dla hrabiego de Trameillan, mój synu! Bóg jeden! — pamiętaj o tem — serc skrytości przenika... nie możesz wiedzieć, ile ten człowiek wycierpiał... nie możesz zważyć i osądzić, ile w tej sprawie zawinił!...

— Co chcecie ojcze przez to powiedzieć? Co pod tem rozumiecie! Tłumaczcie się jaśniej! Na Boga was zaklinam!

— Nic, nic zupełnie nie wiem! nic zgoła nie rozumiem! Powiedziałem... ot tak... nawiasem!...

Przeszli w milczeniu ogródek pełen kwiatów i woni roskosznej. Gdy już byli na progu probostwa, ksiądz zatrzymał ręką Armanda:

— Jutro będę w zamku... Nic-że mi synu drogi nie zlecisz dla panny Walentyny?

W słowach starca była taka słodycz i dobroć anielska, iż Armand, w nadmiarze radości i wdzięczności, rękę kapłana porwał ruchem żywym i do ust przycisnął.

— Oh! Jakże ci ojcze podziękować! Jak ty umiesz czytać w głębi serc ludzkich! Powiedz jej, iż kocham ją, więcej niż kiedykolwiek! Że ją ubóstwiam! Że cokolwiek się stanie, może liczyć na moją miłość wierną, na moje dla niej bez granic poświęcenie! Że...

— Powoli! powoli! synu kochany! Księdzu nie wolno tak o miłości deklamować! — uśmiechnął się starzec dobrodusznie. — Bądź jednak spokojny, wywiążę się, jak będę mógł, najlepiej z twojego polecenia... A teraz żegnaj mi, i niech cię Bóg prowadzi!

Armand po drodze z Bonnières do domu swojego otwierał co chwila pulares i wpatrywał się w miniaturę, która tak mu przypominała ukochane rysy Walentyny. Zrozumiał dziwną oziębłość hr. de Trameillan dla tej biednej istoty. — Nienawidził po prostu Walentyny! — Jeżeli przez lat tyle tłumił w sobie i krył się ze wstrętem dla tej, która stała mu przed oczami, niby widmo przeszłości, teraz względów żadnych dla niej mieć nie będzie. Truchlał myśląc, na co wszystko może być narażoną jego najukochańsza, ze strony starca brutalnego, okrutnego a mściwego.

Trwoga go przejmójąca na myśl o więzieniu i innych przykrościach, które może doświadczać Walentyna, dodała mu bodźca, aby kończył jak najrychlej sprawę, w którą został tak fatalnie uwikłany!

XXVI.

Droga z Bonnières prowadziła popod park w Albray i koło znanej nam leśniczówki. Armand postanowił wstąpić do tego domku, którego wnętrza nie znał dotąd, i wybadać raz jeszcze węglarkę. Ona musiała znać najdokładniej szczegóły dramatu, który głównie w tym domu się odegrał, i w którym miała udział niezawodnie.

Wprawdzie jej usposobienie ponure i milczące, jak też umysł osłabiony wiekiem, i udawane, czy też rzeczywiste zmysłów pomięszanie, uniemożliwią zapewne wszelkie badanie. Czyż przed kilkoma dniami nie złożyła Armandowi dowodów oczywistych, jawnej niechęci, uporu i niemoty? Postanowił jednak rozmówić się z węglarką raz jeszcze.

Cichość głucha panowała do koła; domek był szczelnie zamknięty. Cieniutki słupek dymu, z komina wychodzący, zdradzał jedynie pewną działalność i życie wewnątrz.

Armand zapukał raz i drugi, a gdy nikt się nie odzywał, pocisnął klamkę i wszedł do środka.

Izba, w której się znalazł, była ciemną zupełnie, mimo godziny przedpołudniowej. Okna, z pozamykanemi okiennicami, światła nie przepuszczały, jedynie nad drzwiami były dwie małe tafelki, kurzem i pajęczyną okryte, przez które wpadał słaby dnia promyczek.

Gdy wzrok jego oswoił się z ciemnością, ujrzał postać skuloną przed kominkiem, gdzie mimo upału na dworze, dwie głownie dogasały. Domyślił się po stroju, iż to była sama Genowefa Tinnet.

Odchylił drzwi, aby rozprószyć cokolwiek panujące tu ciemności. Szczeliną wpadł wesoły promień słońca, przecinając izbę ukośnie, a w nim, niby wstęga szara, zamigotały atomy pyłku lekkiego. Izba była prawie pusta. Nad kominem uderzał tylko karabinek dawnego kalibru, tornister skórzany, jakich żołnierze w wojnie wandejskiej używali, i kokarda biała, która ich czapki wojskowe zdobiła. Wszystko to atoli, było grubą warstwą kurzu okryte.

— Czemu drzwi nie zamykasz, błaźnie jakiś?! — mruknęła gniewnie węglarka, zwykłym tonem chrypliwym i głuchym, jakby z piwnicy głos wychodził.

Myślała zapewne, plecyma do drzwi obrócona, iż wraca Pawełek, ów chłopak wiejski, którego nie tylko używała do licznych posyłek, na co nogi własne już jej nie starczyły, ale również musiał z nią sypiać, aby jej nie tak straszno się wydawało, samej jednej na całe obejście i do tego z sumieniem może nie całkiem spokojnem.

Armand naprzód postąpił i stanął teraz w pełnem świetle przed nią.

Węglarka, z głową na piersi spuszczoną i z kapiszonem czarnym na oczy nasuniętym, przesuwała z głuchym szelestem, w drżących palcach, paciorki różańca.

Podniosła głowę, i z pod oka spojrzała koso i niechętnie na Armanda.

— Ach! to znowu pan! — mruknęła gniewnie.

— Zmęczyłem się, idąc pieszo, i chciałbym chwilkę u was wypocząć! Wszak pozwolicie matko?

Coś pod nosem cicho zamarmotała, co raczej na przekleństwo, niż na gościnne zaproszenie wyglądało, i trzepała dalej pacierze, trzęsąc głową tak, że niemal kolan niekiedy czołem dotykała.

Armand wziął krzesło i usiadł naprzeciw.

— Wygodnie tu sobie matko mieszkacie — zagadnął — nie dziwię się, iż tak wiernie kochacie hrabiego, który wam obmyślił na stare lata taki kącik spokojny.

— Ojcowie moi służyli od kilkuset lat wiernie Trameillan'om, niema się więc czemu dziwić, że hrabia, ostatniej z rodu, dał kącik na starość — węglarka bąknęła szorstko.

— Na waszem miejscu jednak, byłbym prosił hrabiego, żeby mnie gdziekolwiek indziej pomieścił, tylko nie w tym domu.

— Dlaczegoż to?

— Już wam raz matko tłumaczyłem. Bałbym się mieszkać w pokoju, gdzie taką zbrodnię popełniono. Wiecie — nachylił się ku starej, szepcząc tajemniczo — znowu ją widziano!...

— Kogoż takiego?

— Kobietę tu w tym domu otrutą... Znam dwie osoby, które Mariettę nieboszczkę spotkały... Pierwszy raz siedziała, ot tu, przed domem u studni, i rzewnie płakała. Raz drugi widziano ją koło północy, snującą się przy świetle księżyca, w wąwozie, tam... wiecie... w miejscu, które nazywają: „Kocim skokiem..." Posuwała się zwolna, ku ziemi pochylona, jakby czegoś szukała... była bladą straszliwie i wlokła za sobą całun śmiertelny.

Nie mógł widzieć rysów węglarki, bo te szczelnie kapiszon okrywał, i siedziała zresztą twarzą do ogniska obrócona, zauważył jednak, że drżała febrycznie, a suche palce, coraz szybciej z łoskotem kulki drewniane różańca przesuwały.

— Moglibyście i wy ją matko zobaczyć kiedy... Musiała zapewne skonać tutaj? — wskazał ręką łoże szerokie i wysoko wyścielone, które zajmowało cały jeden kąt w izbie. — Bardzoście odważni matko! Jabym za nic w świecie nie spał na tem łóżku!

— Po co przyszliście panie do mnie z tem wszystkiem? — głos węglarki był drżący i stłumiony.

— Ot! tak sobie... chciałem trochę z wami pogawędzić. Zresztą, gdy życie całe spędzimy uczciwie i pobożnie, jak wy matko, nie potrzebujemy obawiać się umarłych. Ale to przecież mię zastanawia, że wy, którzy tak często, nawet i w nocy, błądzicie po parku, i koło tego domu, nigdyście się z upiorem nieboszczki nie spotkali!

— Nic nigdy nie widziałam; nie rozumiem pana wcale!

Więcej nie mógł ani słowa wydobyć ze starej. Klepała dalej pacierze, mrucząc z cicha, a paciorki latały, gorączkowo z ręki do ręki posuwane.

Pożegnał się z nią i opuścił leśniczówkę.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Tajemnice wielkiego świata.

(Ciąg dalszy.)

XII.

Ptak nocny przelatujący lekko, sarna umykająca cicho przy blasku księżyca, zając przesuwający się przez płoty, robią przecie więcej szmeru w lesie, niżeli kłusownicy.

Ta istota przesuwa się jak widmo czarne pomiędzy drzewa, nie dotknąwszy się nigdy żadnej gałązki, nie nadeptawszy żadnego listka suchego, który by zaszeleściał pod jego nogami.

Dokładność tego cośmy opisali, można by sprawdzić, idąc w dwie godzin później, po przybyciu Michała Balthazar do folwarku Chenevières, za nim i za Rajmundem Lanet.

Wyszli z folwarku o północy i szli dołem niedawno wykopanym, otoczonym krzakami, a który prowadził prosto do lasów Rochepinte. Markiz B..., który należał do najbogatszych właścicieli w Nivernais, posiadał do trzech tysięcy hektarów lasu około zamku. Wśrodku znajdował się park. Park ten otoczony był murem, a mur obwiedziony szerokim rowem zewnątrz, i licznemi łapkami wewnątrz.

Jednakże, pomimo tego, że markiz miał licznych strażników, nie mógł ochronić zwierzyny swojej od kłusowników.

Rajmund Lanet wiedział o tem wszystkiem i dlatego aby zmylić dozorców, pokazał się w Mailly, a potem wsiadł na wózek jadący do Auxerre. Wskutek tego pierwszy strzelec markiza powróciwszy do zamku o dziesiątej wieczór, mówił:

— Tej nocy, możemy wszyscy się położyć i spać spokojnie.

Rajmund i Michał szli prosto do parku. Weszli w las, a Michał szedł za Rajmundem, który w razie potrzeby mógł iść z oczami zawiązanemi.

— A więc — odezwał się nareszcie, gdy zatrzymali się chwilę w pobocznej ścieżce — to rzeczywiście idziemy na króliki? Wszakże nie mamy sieci?

Rajmund zaczął się śmiać.

— Ani sieci, ani saków — dodał Michał.

— Jestem zręczniejszy jak myślisz — rzekł kłusownik.

— Nie potrzebujesz sieci?

— I owszem.

— A więc gdzież są?

— U margrabiego, dalibóg!

— To zanadto odważnie — rzekł Michał.

I obaj kłusownicy przyspieszyli kroku; — przybyli nareszcie do rowu, okalającego park i zamkniętego furtką najeżoną kolcami.

— Widzisz to? — zapytał Rajmund.

— Widzę.

— To nasza droga.

— Nie szeroka...

— I co więcej, trzeba bardzo uważać.

Mówiąc to kłusownik macał kijem, między kratami z drugiej strony otworu. Nagle Michał usłyszał szmer jakiś i odgłos metaliczny, jakby jakaś sprężyna zatrzasła.

— Cóż to takiego? — zapytał przestraszony.

— To łapka zastawiona wewnątrz parku, z drugiej strony kraty.

— A! łapka?

— Tak, margrabia jest człowiekiem przebiegłym... ale ja także... jak widzisz. — I Rajmund pokazał mu kij złapany w straszne kleszcze żelazne.

— Teraz — rzekł — możemy przejść. — I wsunął się do parku po pod kratę, przechodząc koło łapki teraz nieszkodliwej. Michał szedł za nim.

— Piękna noc do roboty — szepnął Rajmund. — Ciemno nadzwyczaj. Pójdziemy do wielkiej nory.

— Gdzież to?

— Na górze, w kącie na lewo.

. . . .

Każdy zna rodzaj polowania zwany szperaniem, dla tego nie będziemy się rozwodzić nad wyprawą nocną Rajmunda Lanet i jego towarzysza. Dość, że w dwie godzin potem, obaj kłusownicy mieli ze sto królików, napakowanych w sakwy i myśleli o oddaleniu się, chcąc wyjść tym samym otworem którędy przyszli, gdy wypadek niespodziewany zmusił ich do zmiany postanowienia.

Podczas ich polowania, cisza była grobowa, żadnego szmeru, żadne światełko nie błysło w zamku, wszyscy spali. Ale nagle światło zabłysło między drzewami. Światło to, które prawdę mówiąc było tylko punkcikiem różowym, Rajmund poznał natychmiast.

Było to cygaro margrabiego lub kogoś innego.

— Uciekajmy! — szepnął.

I obaj uginając się pod ciężarem, zeszli do kraty. Tam Rajmund wylazł na drzewo, a z drzewa skoczył na wierzch muru, na którym usiadł i rzucił sznur Michałowi.

— Przywiąż mi do niego sakwy — dodał.

I tak każdy worek Michał przywiązywał mu do sznura, a ten przerzucał na drugą stronę. Gdy przerzucił już ostatni, Rajmund zawołał do Michała:

— Teraz uciekaj, znasz drogę! — i zniknął za murem.

Michał zaczął także wdrapywać się na drzewo. Ale zaledwie chwycił się drzewa rękami, jakaś ręka dotknęła się jego ramienia. Michał puścił drzewo, obrócił się przestraszony i krzyknął.

— No! no! — zaśmiał się głos drwiący — zawsze kłusownicy, he?

Michał Balthazar poznał ten głos. Był to głos Leona de Villenave, który go także niegdyś schwycił w parku de Planche Mibray.

XIII.

— Złapanym! — szepnął Michał z gniewem.

P. de Villenave zaczął się śmiać.

Z początku kłusownik nie mógł się połapać co się stało. Jakim sposobem i dlaczego p. de Villenave pilnował zamku de Rochepinte?

Lecz istniał między nimi dawny związek tajemniczy, który mógł się przysłużyć Michałowi.

— A! to pan! — zawołał i spojrzał ostro na pana de Villenave.

— Jesteś więc niepoprawny? — zapytał Leon.

— O! — zaśmiał się Michał.

— Dawniej łapałeś króliki w Planche-Mibray...

— To prawda — rzekł Michał. — Teraz w Rochepinte. Cóż pan chcesz?... Trzeba żyć...

— Całkiem słusznie! — odparł p. de Villenave.

— Robota nie popłaca — ciągnął dalej Michał — panowie płacą bardzo źle...

I wpatrywał się uparcie w pana de Villenave.

— Pracujesz więc dla panów? — zapytał tenże.

— Niekiedy... Ale to nic nie przynosi.

— Tak, doprawdy?! — odrzekł p. de Villenave niezmięszany.

— Pan wiesz to przecie najlepiej! — rzekł Michał.

— Nic nie wiem — odrzekł zimno siostrzeniec barona de Planche-Mibray.

— O! — zaśmiał się znów Michał i spojrzał na niego z rodzajem zdumienia. — Pan nie masz widzę dobrej pamięci — odrzekł.

— Jakto? — zapytał p. de Villenave.

— Nie przypominasz pan sobie, że złapałeś mię pewnego wieczora, w parku Planche-Mibray.

— Pamiętam doskonale.

— I że powiedziałeś mi, że... jeżeliby kiedy... Planche-Mibray do pana należał...

— To cóż?

— Pozwolisz mi polować ile zechcę...

— Pewnie.

— I że nawet wynająłbyś nam folwark i młyn w Coulanges.

— To możliwe.

— A więc — mówił dalej Michał ośmielając się — wiesz pan co się stało?

— Nie wiem nic.

— Wuj twój umarł.

— Tak, zabił się na polowaniu.

— Albo zabito go...

— Mniejsza o to! — odrzekł p. de Villenave.

— A, tak myślisz pan? — rzekł Michał i wparzył się znowu w niego.

— Pewnie — szepnął p. de Villenave, drgnąwszy.

— Zresztą bywają strzały, które nie wiele przynoszą....

Teraz pan de Villenave odzyskał całą swą śmiałość bezczelną.

— Masz słusznie — odrzekł — i sądzę, że Munito nie zapłacił ci drogo za kulę, którą zabiłeś biednego Maugeville'a.

Po tem powiedzeniu nagle scena zmieniła się. Michał przerażony cofnął się i stłumił wykrzyk.

— Strzeż się! — zawołał p. de Villenave — nie mieszam się do królików mego przyjaciela markiza, u którego jestem od tygodnia — i nie wpłynę także na strażników, aby cię chwycili, lecz jeżeli strażnicy spią, to tylko przez pół. A zatem, zachowaj się spokojnie... i mówmy cicho.

Michał czuł się zwyciężony, jednakże szeptał:

— Nie wiem, co chcesz pan powiedzieć... Nie znam nikogo imieniem Munito.

— Nawet więźnia w skałach Saussois? — zapytał p. de Villenave, i położył mu rękę na ramieniu, mówiąc:

— Są strzały, które nic nie przynoszą, a inne nie wiele, ale rzeczy mogą się zmienić... i naprzykład strzał, który nic nie przyniósł, może teraz przynieść dwadzieścia tysięcy franków.

Michał cofnął się zdumiony.

P. de Villenave mówił dalej:

— To ładna moneta, dwadzieścia tysięcy franków, co?

Ale Michał nie dowierzał teraz.

— Tak, szczególniej — odrzekł z ironią — aby kupić folwark i młyn w Coulanges!

— Nie, dwadzieścia tysięcy franków, z ręki do ręki.

— Gdy Planche-Mibray należeć będzie do pana? — dodał jeszcze kłusownik tonem drwiącym.

— Nie, zaraz.

Michał Balthazar spojrzał na pana de Villenave i rzekł obojętnie.

— Kogoż znowu chcesz pan zamordować?

— Nikogo.

Teraz kłusownik cofnął się zdumiony.

— Mój kochany Michale — mówił dalej p. de Villenave — baronowa de Planche-Mibray zrobiła sobie wotum, że wyjdzie za mnie, jeżeli jej wydam Munita. Rozumiesz?

— Otóż — ciągnął dalej po chwili milczenia — wykryłem tajemnicę schronienia cygana.

— A więc — rzekł Michał — skorzystaj pan z tego.

— Nie. ja chcę, abyś mi pomógł.

— Dziękuję! Oskarżył by mię, że to ja strzeliłem.

— Nie uwierzono by mu..

— Wolę nie ufać temu...

— A więc wyrzekasz się dwudziestu tysięcy franków?

Pytanie to zrobione z nienacka, wywarło swój skutek.

— Wybacz pan — odezwał się Michał — ale nie wierzę zupełnie twoim obietnicom.

— A, doprawdy?

— Oszukałeś mię pan już raz...

— To właśnie powód, abym dotrzymał słowa.

— Zapłacisz pan naprzód?

— Zapłacę, połowę.

Michał wahał się jeszcze.

Bandyci i mordercy mają dla siebie pewne skrupuły. Michał wahał się zdradzić człowieka, który mu zaufał.

P. de Villenave mówił dalej.

— Zaczekasz tu na mnie?

— Po co?

— Pójdę do zamku... i przyniosę ci połowę sumy obiecanej.

Michał niedowierzał jeszcze ciągle.

— Tak — rzekł — pójdziesz pan do zamku i przyprowadzisz strażnika, który mię schwyci za kołnierz.

P. de Villenave wzruszył ramionami.

— Głupcze! — zawołał — jeżeli utrzymujesz, że popełniłeś zbrodnię dla mnie, cóż za interes mieć mogę, żeby cię wydać?

Uwaga była słuszna.

— No... niech będzie — odrzekł Michał — idź pan, a ja zaczekam.

I usiadł pod drzewem. P. de Villenave oddalił się.

Rajmund Lanet, kłusownik, który był z drugiej strony muru, czekał przeszło kwadrans. Szmer nawet pomięszanych głosów p. de Villenave i Michała doleciał aż do niego. Myślał, że strażnicy chwycili Michała i uciekł co sił stało, trzymając się przysłowia. „Zawsze najbliższa koszula ciała."

I gdy Michał siedział i czekał, p. de Villenave wracał do zamku. Wyszedł on wieczór, po herbacie, zapalić w parku cygaro i przechadzał się trochę. W ten to sposób chwycił Michała, mówiąc sobie w duchu:

— Dobra sposobność zdarza się. To mię uwalnia od przejścia się koło oberży pod Sową, jak myślałem wczoraj.

Markiz B.... zostawiał zwykle gościom swoim wolność nieograniczoną.

Odkąd byli w Rochepinte, Corinna Destremont i p. de Villenave, wychodzili i przychodzili o każdej godzinie w nocy czy w dzień, i nikt nie zajmował się nimi.

Markiz zresztą, który polował codziennie, wracał bardzo późno wieczór i kładł się do łóżka.

P. de Villenave wyszedłszy z parku, dostał się małemi drzwiczkami do oranżerji. Przeszedł oranżerję, potem sień i udał się po cichu do pokoju Corinny, która już spała i zapukał lekko dwa razy. Corinna zbudziła się przestraszona i pobiegła otworzyć.

— Cicho! — szepnął Leon — nie rób szmeru.

— A! to ty? — rzekła Corinna. I zamknąwszy drzwi poszła do pokoiku.

— Jest coś nowego — ozwał się p. de Villenave.

— Cóż takiego?

— Wiesz, że odkryłem miejsce, gdzie kryje się Munito?

— Mówiłeś mi.

— I że jutro miałem przedsiębrać kroki, ażeby wciągnąć Michała do naszych interesów?

— A więc?

— Michał jest tu w parku.

— Teraz?

— Tak — chwyciłem go kradnącego króliki markiza.

— I porozumieliście się?

— Prawie.

— Jakto?

— Obiecałem mu dwadzieścia tysięcy franków.

— Postępujesz nie źle, no proszę! — rzekła Corinna.

— Z tych zaraz dziesięć tysięcy.

Corinna zmarszczyła brwi.

— A zkądże weźmiesz te dwadzieścia tysięcy franków?

— Ty mi je dasz...

— A! jeżeli dziedzictwo twojej ciotki ominie cię....

— Et! - szepnął p. de Villenave — wiesz w jakich warunkach połączyła się ze mną. Kto nic nie ryzykuje ten nic nie ma.

— Niech i tak będzie — rzekła Corinna — ale wiesz, że pożyczam tylko na procent.

— Jakiż twój procent?

— Sto za sto.

— Bagatela — szepnął p. de Villenave z uśmiechem pogardliwym.

Corinna zarzuciła szarafan na prędce, wsunęła nóżki w pantofelki stojące koło łóżka, wzięła w rękę lampkę nocną, stojącą na stole i zbliżyła się do szafki, w której zamknęła klejnoty swoje i pulares z banknotami. Wyjęła z niego dziesięć tysięcy franków, mówiąc:

— Napisz mi pokwitowanie.

— Do djabła! — szepnął Leon z ironią — i mówią, że kobiety są marnotrawne.

— Ci, którzy nie wiedzą, że będę się kiedyś nazywać panią de Villenave.

A gdy jej wspólnik zmarszczył brwi, Corinna dodała:

— Wyglądasz, jak gdybyś gardził memi pięćdziesięcioma tysiącami franków dochodu — taki hołysz!...

— Nie, ale jeżeli nie będę miał dziedzictwa ciotki, podzielisz je ze mną?

— Głupi jesteś! — zawołała Corinna i położyła się do łóżka.

Wtedy p. de Villenave, który chodził po zamku jak widmo jakie, i o ile tylko mógł, szedł jak najciszej, zeszedł do parku.

Michał siedział ciągle pod drzewem.

— Oto jest, co ci obiecałem — rzekł Leon de Villenave.

Michał wyjął z kieszeni patyczek, zapalił go, i przy tem świetle zaczął się przypatrywać banknotom.

— Przynajmniej nie są fałszowane? — odezwał się.

— Jeżeli nie są dobre, zamienię ci je — odpowiedział Villenave.

I obaj wspólnicy zaczęli szeptać cicho, umawiając się, w jaki sposób schwytać Munita i oddać go żandarmerji.

XIV.

Powróćmy teraz do zamku de Planche-Mibray.

Tydzień upłynął, jak p. de Villenave był w zamku, i jak odjechał, przysięgając ciotce, że póty nie spocznie, póki nie odnajdzie Munita. Zresztą zwątpiono już w okolicy, aby można odnaleźć mordercę Maugeville'a. Czynność i gorliwość mieszkańców, którzy z własnej woli pomagali władzy poszukiwać po lasach okolicznych, zaczęła słabnąć. Jedynie tylko żandarmerja czuwała jeszcze.

Dowódzca oddziału żandarmerji w Coulanges, człowiek inteligentny, odważny i energiczny, wyrozumował tak sobie nadzwyczaj loicznie.

Munito popełnił zdaje się zbrodnię z miłości i zazdrości. Jeżeli człowiek ten nie opuścił tej okolicy, prędzej czy później, powróci znowu błąkać się koło zamku, ażeby ujrzeć baronowę de Planche-Mibray, choćby jedną minutę. Koło zamku więc trzeba czuwać ciągle, bez ustanku. Dlatego zawezwał jeszcze dwóch żandarmów z Auxerre.

Żandarmi ci przybyli w nocy, przebrani za wieśniaków, i ukryto ich w zamku.

Dowódzca sam, jak tylko noc nadeszła, zrzucał swój uniform i szedł do zamku. gdzie nocował zamknięty w pawilone. Ale noce upływały a Munito nie pokazywał się.

Pani de Planche-Mibray, posępna i odważna w swej boleści, mówiła nieraz do pani Villemur: „Ci ludzie znużą się nareszcie... ale ja nie znużę się... ani Leon Villenave także...“

Rzecz dziwna! Odkąd p. de Maugeville umarł, odkąd Leon Villenave przyszedł i ofiarował się sam dobrowolnie szukać mordercę, baronowa nie czuła już do niego tej antypatji co dawniej. Wierzyła nawet w jego słowa, a to wskutek tego, że znała jego chciwość.

Widocznie p. de Villenave pragnął się z nią ożenić, jedynie dla jej majątku, a majątek ten teraz jego, jeżeli wynajdzie Munita.

Unosiła się nawet tak na ten temat, że pani Villemur nie śmiała już nic jej mówić o pogardzie, jaką czuła dla siostrzeńca barona.

Otóż na drugi dzień, po złapaniu Michała Balthazar w parku markiza przez pana de Villenave, tenże przyjechał do Planche-Mibray. Było już późno, i obie wdowy siedziały z robótkami w salonie przy lampie, niedaleko okna.

Być może, że baronowa spodziewała się, że lampa ta przyciągnie raz jeszcze mordercę, i wpadnie w łapki, które mu zastawiano co wieczora koło zamku.

Baronowa aż krzyknęła, spostrzegłszy wchodzącego Leona.

— Nareszcie! — zawołała.

P. de Villenave położył palec na usta.

— Kochana ciotko — odezwał się po chwili — mamy go! i chybaby piekło wyrwało go z naszej mocy!

Baronowa pobladła jak ściana, i wszystka krew ścięła się jej w żyłach.

— Droga ciotko — powtórzył znowu Leon — czy masz zawsze żandarmów pod ręką?

— Zawsze — odrzekła.

— Bo będzie się pewnie bronił jak wściekły — mówił dalej p. de Villenave.

— Uzbroję wszystkich moich ludzi, jeżeli potrzeba!

— Nie ma potrzeby; nie potrzebuję wielu ludzi.

— Ale gdzież jest ten nędznik, w jakiej grocie, czy w którym pniaku drzewa?

— Czy znasz moja cioteczko skały du Saussois?

— Znam je.

— Mają one sto stóp wysokości. W środku tego muru z granitu, który wznosi się pod nad l'Yonną, to jest, około osiemdziesiąt stóp po nad powierzchnią wody, jest rozpadlina, w której, jak daleko sięga pamięć ludzka, widziano tylko gnieżdżące się ptaki drapieżne. Jednakże, zagłębiając się w mych wspomnieniach, przypomniałem sobie, że mój dziadek de Planche-Mibray, ojciec barona i mojej matki, utrzymywał, że podczas rewolucji, pewien dezerter przywiązał sznur w górze na skale, i spuścił się tą pochyłością, przytykającą do tego złowrogiego gomu Balthazarów.

— Cóż dalej? — spytała gorączkowo baronowa.

— Potem, za pomocą tego sznura — ciągnął dalej p. de Villenave — zsunął się aż do otworu tej rozpadliny, wlazł tam, i bardzo długo się ukrywał.

— Dalej! dalej! — i pani de Planche-Mibray wpatrywała się ciągle w Leona, straszliwie niespokojna.

— Tam to kryje się ten człowiek.

— I mógłby tam dostać się sam?

— Nie sam, ale z pomocą jednego z Balthazarów.

— Och! nędznicy! — wykrzyknęła baronowa, której oczy zabłysły złowrogo.

— Zaręczam ci jednak, kochana ciotko, że żaden z Balthazarów nie jest wspólnikiem zbrodni. Ale Munito przyciśnięty, ścigany, powierzył się im. Musiał mieć jakieś pieniądze, dał im je, i oni to znaleźli mu schronienie prawie niedostępne.

— Jakimże sposobem odkryłeś to?

Baronowa uczyniła to pytanie zimno, zapanowała nad wzruszeniem, stłumiła nienawiść. Była teraz spokojną, jak wódz, któremu zdają raport o pozycji nieprzyjaciela.

— Przed trzema dniami — mówił p. de Villenave — przejeżdżałem w noc ciemną i deszczową, po pod skały Saussois. Nagle opowiadanie mego dziadka przypomniało mi się. I zacząłem się przypatrywać rozpadlinie rozwartej, która odbijała czarna na tle szarem skał. Miałem jakieś przeczucie. Zatrzymałem się i czekałem. Deszcz lał jak z cebra. Stanąłem z koniem pod drzewem, i stałem tak parę godzin, wpatrując się w skałę. Nagle krzyk jakiś doleciał do mnie. Krzyk był podobny do pisku sowy. Ale jako myśliwy, poznałem zaraz, że to jakieś hasło i głos ludzki. Potem wkrótce postać jakaś zarysowała się na górze na skałach, prostopadle po nad rozpadliną. Potem znowu coś poruszyło się na dole, nad brzegiem otworu, i spostrzegłem spuszczający się przedmiot jakiś, który nie mógł być czem innem, jak tylko koszykiem z prowiantami, który człowiek znajdujący się na górze, spuszczał za pomocą sznura więźniowi ukrytemu. Człowiekiem tym był jeden z Balthazarów. Ukrył Munita za pieniądze, i zdradził go też teraz dla pieniędzy.

— Ale jakimże sposobem — zapytała pani de Planche-Mibray, której oczy błyszczały — jakim sposobem dostać go?

— Balthazar i ja, ułożyliśmy plan prawdziwie piekielny.

— Jakiż?

— Nocy zeszłej Michał Balthazar spuścił się do rozpadliny i powiedział cyganowi: „Wynalazłem środek ucieczki. Jutro flisacy przejeżdżać będą z drzewem po pod skały. Są to ludzie pewni; ukryją cię pod chrustem, aż do Paryża.“

— I Munito uwierzył mu?

— Na słowo. Otóż co się stanie. O północy Balthazar spuści sznur. Munito chwyci się go. Balthazar pociągnie sznur i zbieg znajdzie się na szczycie skał, gdzie go oczekiwać będziemy z żandarmami.

Baronowa spojrzała na zegar. Była dziesiąta.

— Dobrze — rzekła — mamy jeszcze czas.

— Nie tak bardzo — odrzekł p. de Villenave. — Czas jest brzydki, noc czarna, i deszcz pada mocny. Trzeba jeszcze uprzedzić o tem żandarmów w Coulanges...

— Mylisz się pan — szepnęła pani de Planche-Mibray — żandarmi są tu.

Wstała, otworzyła drzwi w głębi salonu i zawołała z cicha: — Panie naczelniku!

Naczelnik był w gabinecie obok; przybiegł natychmiast. Chociaż był ubrany w bluzę i kaszkiet, p. de Villenave poznał go. Wtedy powtórzył mu dosłownie, co mówił baronowej. Naczelnik słuchał, nie przerywając, potem, gdy p. de Villenave skończył, rzekł:

— Wiesz pan, że rozpocząłem śledztwo, najpierw aresztując całą rodzinę Balthazar?

— Tak słyszałem.

— Dowiedli oni jednak bytności swojej gdzieindziej, podczas popełnienia zbrodni, i puszczono ich, ale ja trwam zawsze przy swojem zdaniu.

— Jakież jest zdanie pana?

— Że to oni pomogli cyganowi, a najlepszy dowód, że nie odnaleziono dotąd ciała pana de Maugeville. Niech się więc trzymają dobrze...

— Co myślisz pan robić?

— Za najmniejszem poruszeniem dwuznacznem, znowu ich zaaresztuję.

— Źlebyś pan zrobił — rzekł zimno p. de Villenave.

— Dlaczego? — zapytała baronowa.

— Ponieważ ci ludzie wydają nam Munita. Kto wie teraz, czy za pieniądze, przypuściwszy, że Munito zwierzył im się, nie pomogą nam odnaleźć tego biednego Maugeville'a.

— Masz pan słuszność — odparła baronowa. A zwracając się do naczelnika, rzekła:

— Zastosuj się pan do tego i nie zajmuj się więcej nimi.

Naczelnik ukłonił się.

I umówili się, że pan de Villenave pojedzie do lasu Frettoye — gdyż tam miał zejść się z Michałem — a naczelnik z dwoma żandarmami z Auxerre pójdzie do Coulanges. Tam weźmie więcej żandarmów i pójdą do skał Saussois. Zejdą się z panem de Villenave pięćset metrów przed skałą, na drodze koło rzeki.

— Będziemy tam razem — rzekła baronowa.

— Jakto — zawołał Leon de Villenave — i ty moja ciotko?

— Tak, ja — odrzekła — chcę widzieć, jak będą brali bandytę.

— Ale czas jest okropny...

— Deszcz pada i to orzeźwi mię, gdyż mam gorączkę.

I pani de Planche-Mibray podniosła się jaśniejąca odwagą i postanowieniem niezłomnem.

Pan de Villenave myślał sobie:

— Interesa moje idą co raz lepiej... Jednakże to mnie niepokoi... gdyby tak Munito, gdy go schwytają, powiedział, że ja mu dałem klucz od furtki ogrodu przy ulicy Babylone?

I nędznikowi serce mocniej zabiło.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Redaktor - Wydawca: W. Maniecki.